Rok 2 Chojnice, dnia 15 czerwca 1933. Nr. 46

KRAINA POWIEŚCI

BEZPŁATNY DODATEK POWIESCIOWY - WYCHODZI 2 RAZY W TYGODNIU

SIEROTY

3 POWIEŚĆ Z NIEDAWNYCH CZASÓW

— Wiecie to dokładnie?

— Zupełnie.

— Czy inżynier towarzyszył Makowi w drodze do domu?

— Tego nie wiem.

— Nie słyszeliście, aby o tem była mowa, gdy wychodzili?

— Nie.

Prokurator przerwał na chwilę badanie i przystąpił do sekretarza, ażeby się przekonać, czy zeznania Lisa dobrze spisał.

Lis zapytał:

— Czy mogę już odejść?

— Powiedzcie mi jeszcze, czyście nie spostrzegli po inżynierze, ażeby zazdrościł Makowi wynalazku?

— Wszyscy robotnicy w fabryce wiedzieli, że pan inżynier pomaga Makowi przy wynalazku, lecz każdy znas był przekonany, iż to robi z życzliwości i dobrego serca.

— Czy robotnicy lubią pana inżyniera?

— Najwięcej z wszystkich urzędników.

— Dla czego?

— Ponieważ jest dla nas bardzo ludzki.

Tu prokurator znów przerwał badanie, jakoby chciał dać czas sekretarzowi do spisania wszystkiego.

Po chwili zapytał się znowu:

— Wy znacie dobrze pana iWlkusa?

— Tak.

— Może mi w takim razie możecie powiedzieć, jak mu imię?

— Nie wiem dokładnie, lecz zdaje mi się, że Stefan.

Prokurator drgnął nieznacznie, bo przypomniał sobie, że na znalezionej chustce były wyszyte litery S i W. To mogło znaczyć Stefan Wilkus, lecz kto wie?

W każdym razie inżynier wydawał mu się bardzo podejrzanym.

— Możecie odejść, — odezwał się do Lisa, który na te słowa zdjął czapkę przed prokuratorem i zaraz odszedł.

Tymczasem zwłoki Maka włożono na wóz, aby je odstawić do miasta, gdzie lekarze dokładnie zbadać mieli, czy nieboszczyk zmarł skutkiem rany.

Franuś czepiał się ciała ojca, płakał i krzyczał, aż się serce krajało obecnym.

Prokurator polecił kilku ludziom, aby rozpaczającego chłopca odprowadzili do domu i żonę zabitego uwiadomili o okropnym wypadku.

Ciało Maka przykryto derą, prokurator z lekarzem wsiedli do bryczki i smutny ten orszak ruszył do miasta.

Monter Lis, skoro tylko przesłuchy jego się skończyły, wrócił do gromady ludzi ciekawych o co go się prokurator pytał. Nie odpowiedział jednak dużo na ich pytania, a oni też nie nalegali, bo tymczasem uwaga ich zwróciła się na to, co się działo z trupem.

Podczas gdy wszyscy uwagę swoją zwrócili w tę stronę, Lis oddalił się zwolna, aż wszedłszy w las, zaczął biec znaną mu ścieżką przez las. Nie zważał na to, że gałęzie biją go po twarzy a kolce rozdzierają mu odzież; wymijając zręcznie rozmaite przeszkody, biegł co sił.

Ścieżka ta wiodła do fabryki Glasa a chadzali nią prawie wyłącznie robotnicy z okolicznych wsi, którzy w wioskach za lasem mieszkali. Przez to skracali sobie drogę do fabryki o dobre pół godziny.

Lis dobiegłszy do fabryki, nie zatrzymał się aż przed domem, w którym się kancelarje mieściły. Zajrzawszy przez okno, spostrzegł w biurze inżyniera Wilkusa, schylonego nad stołem. Prócz niego nie było nikogo w pokoju.

Prędko otworzył drzwi i obejrzawszy się wokoło, zapytał:

— Czy nie wiecie o tem, panie inżynierze, że Mak zastrzelony został tej nocy w lesie?

Wilkus zbladł, jak płótno, a przerażenie ogarnęło go tak wielkie, że dopiero po chwili zdołał wyszeptać?

— Biedny Mak! Któż jest mordercą?

Lis rzucił na niego bystry wzrok, poczem przystąpiwszy bliżej, zaczął mówić szeptem:

— Nie wiadomo kto go zastrzelił, lecz w lesie blisko mordu znaleziono waszą chustkę od nosa...

— Moją?... — zawołał Wilkus zmięszany.

— Oprócz tego zaś rcwolwer, który tak wygląda, jak wasz, dokończył Lis.

— Na miłość Boską! zakrzyknął Wilkus. Mój rewolwer... niepodobna; przecież ja go mam tu w szufladzie.

To mówiąc, podbiegł ku stołowi i otworzył szufladę, gdzie rewolwer przechowywał. Lecz wtem zbladł jeszcze więcej i jak pijany zatoczył się ku ścianie; rewolweru w szufladzie nie było.

— Niema go, niema go! wyszeptał. — Musiał mi go ktoś skraść...

Lis zaczął mówić dalej:

— Panie inżynierze, słuchajcie, bo niema chwili do stracenia. Czyście winni, czy niewinni...

— Ja winny?!... — zawołał Wilkus.

— Ja wierzę, żeście niewinni, — mówił Lis gorączkowo, — lecz z życzliwości dla was mówię wam, że prokurator ma was w podejrzeniu

o morderstwo i w tej chwili niezawodnie już wydany jest rozkaz żandarmom, ażeby was aresztowali. Uciekajcie, póki czas!

— Nie, nie mogę, — odpowiedział inżynier, — bo wszyscy by mniemali, że w poczuciu winy uciekłem, a ja jestem niewinny.

— Jak chcecie, jak chcecie — odpowiedział na to Lis, — ja was ostrzegłem. To wam mówię, że ja na waszem miejscu bym się schował, choćby dla tego, ażeby mnie nie aresztowano. Niepodobna, ażeby śledztwo nie miało wykazać waszej niewinności.

— Nie, nie mogę... — powtórzył Wilkus, nie mogę nazwiska mojego pozwolić splamić podejrzeniem o zbrodnię. Coby moja matka...

Tu nagle przerwał sobie, gdyż przypomniało mu się, że właśnie matka miała go odwiedzić, i już jest w drodze. Gdy w nocy układał plan z Makiem, iż pojadą do stolicy, chciał z tem połączyć powitanie matki na dworcu. Staruszka ncieszyłaby się, zobaczywszy syna.

— Jezus, Marja, co się z nią stanie? — wyszeptał. — Jeżeli przyjedzie i zastanie mnie w więzieniu, posądzonego o morderstwo, nie przeżyje tego. Biedna moja matka!

— I z tej przyczyny byłoby lepiej, gdyby pan inżynier schronił się tymczasem. Pan może udać się do stolicy, tam spotkać się z matką i zapobiec nieszczęściu.

— Co począć? — wołał Wilkus ,chodząc w rozpaczy po pokoju.

— Jedną tylko każdy ma matkę, — rzekł Lis — a przeto życie matki dla każdego najdroższe. Skoroście niewinni, panie inżynierze, to musi się wykazać a gdy się wykaże, wrócicie znowu do nas. Zresztą róbcie, jak chcecie, ja was ostrzegłem.

To powiedziawszy, zabierał się do wyjścia. Lecz zaledwie otworzył drzwi i okiem rzucił na bramę fabryczną, cofnął się i zawołał:

— Żandarmi! Uciekaj pan!

Wilkus drgnął i nie namyślając się dłużej, wybiegł drzwiami, wiodącemi do maszyn. Tam było wyjście, którem można się było wydostać z fabryki i do lasu.

Skoro tylko inżynier opuścił biuro, Lis przyskoczył do szafy, w której był schowany model: jednym silnym zamachem oderwał drzwi i pochwyciwszy pudło z modelem, kapelusz i płaszcz inżyniera, wybiegł za nim.

Za chwilę żandarmi zapukali do drzwi kancelarji, lecz Lis zasunął zasuwkę. Zaczęli się tedy dobijać, a gdy nikt nie odpowiadał, jeden pozostał na straży przy drzwiach, a drugi udał się do innego biura.

Po chwili otworzyły się drzwi, bo jeden z urzędników oprowadził żandarma wokoło. Oderwane drzwi szafy, wywrócone krzesło świadczyły, że ktoś pospiesznie opuszczał kancelarję, a ponieważ ludzie wiedzieli, że inżynier Wilkus rano przybył do służby, obecnie go zaś nigdzie w fabryce nie było, przeto wszyscy byli przekonani, że uciekł przed chwilą. Uszedł zaś, tak mniemali żandarmi, ponieważ czuł się winnym.

— Może jest w swojem mieszkaniu, — odezwał się jeden z urzędników.

— Gdzie mieszka?

— W mieście, na rynku, w domu oberżysty Majera.

Jeden z żandarmów udał się natychmiast do mieszkania inżyniera. Po drodze wstąpił do prokuratora, ażeby mu zdać raport.

Prokurator, usłyszawszy o ucieczce, wyrzekł:

— Gdyby nie był winny, nie uciekałby przed sprawiedliwością.

Natychmiast też wydał rozkaz, ażeby żandarmi i policja miejska ruszyli w pogoń. Telegraficznie uwiadomiono władze policyjne najbliższych wsi i miast; naczelnikom stacyj kolejowych zaś przesłano telefonem opis zbiega z prośbą o przytrzymanie go, gdyby się gdzie pojawił.

Dnia tego całe miasto nie mówiło o niczem jak o inżynierze Wilkusie jako mordercy maszynisty Maka. Zbrodnia jego wydawała się wszystkem tem okropniejszą, ponieważ spełnił ją człowiek wykształcony i uważany przez wszystkich za człowieka honoru i zacności wielkiej. Przypominano sobie wszystko, co o Wilkusie wiedziano, a ludzie starali się wszystkie jego czyny na złe tłumaczyć. Nad Makem litowano się nadzwyczajnie. W jednej chwili rozeszła się wieść o jego wielkim wynalazku. Podziwiano jego spryt, zdolność i pilność. Tem bardziej zaś potępiano Wilkusa, który jak lis przebiegły najprzód udawał przyjaciela wynalazcy, ażeby pozyskać zaufanie, a potem, w celu wydarcia mu wynalazku i nagrody, nie wahał się zgładzić ze świata biednego człowieka.

Wszyscy jednak ufali, że ręka sprawiedliwości ludzkiej go dosięgnie. Dokądby bowiem mógł schronić się i jak daleko uciec w tak krótkim czasie? Niewątpliwie schronił się gdzieś niedaleko. Spryt żandarmów wykryje niezawodnie wkrótce jego schronisko i przywlecze go przed sąd, ażeby poniósł karę, na jaką zasłużył.

4. Wdowa i sieroty.

Zanim Franuś do domu przybyć zdołał, już okropna wieść o śmierci męża doszła do uszu Makowej. Najpierw przyniosła jej straszną nowinę sąsiadka najbliższa, a potem ze szkoły przybiegły z wielkim płaczem dzieci, które jeszcze do szkoły chodziły, Józef i Jadwisia.

— Matko, matko — płakała Jadwisia — co my teraz poczniemy bez ojca.

— Któż mógł być takim człowiekiem bez litości, że nam ojca zabił, — mówił wśród łez Józef.

Makowa wśród tej rozpaczy i płaczu zachowała jedyną równowagę. Serce pękało jej z bólu, lecz napozór była spokojna. Cóżby bowiem było, gdyby w tak wielkiem nieszczęściu i ona utonęła we łzach i bólu? Wszakże teraz, gdy Mak żyć przestał, na niej spoczęła główna troska o całą rodzinę, o dzieci. Choć przeto ból wielki przenikał jej serce, musiała go stłumić w sobie, ażeby zachować spokój, jaki zachowuje sternik zagrożonego gwałtowną burzą okrętu; gdy obok niego wszyscy drżą ze strachu, on jeden stoi wśród niebezpieczeństw spokojny i pełni swój obowiązek, od czego życie tylu ludzi zależy.

I od Makowej zależą teraz wielkie rzeczy, i ona jest niejako jedynym sternikiem dla siebie i swoich dzieci osieroconych.

Tymczasem nadszedł także Franuś. Przez drogę uspokoił się zupełnie. Pierwszy ból minął, a równocześnie przyszła rozwaga.

— Ojca niema, matka niewidoma, cóż się z nami stanie? myślał, idąc ku domowi. — ja jako najstarszy powinienem ojca zastąpić, lecz jak to zdołam zrobić? Niczego jeszcze nie umiem, bo dopiero od dwóch lat uczę się ślusarstwa. Nie zarabiam ani grosza, a nawet ojciec zobowiązał się

majstrowi za naukę zapłacić. Dopiero za rok nauka się skończy i wtedy też zacznę zarabiać. Lecz co poczniemy przez ten rok ?

Józef jeszcze chodzi do szkoły. Uczy się dobrze, więc może go teraz już wypuszczą i mógłby zacząć także się czego uczyć u jakiego rzemieślnika. Nie bardzo mu się to będzie wprawdzie podobało, bo on lgnie do książek, i gdyby ojciec był pożył, kto wie, czyby go nie był posłał do wyższych szkół.

Teraz oczywiście nic z tego być nie może, bo skąd wziąć pieniądze? Józek będzie musiał zostać rzemieślnikiem.

A Jadwisia? Będzie chodziła do szkoły.

Lecz najważniejsze pytanie, co się stanie z matką?

Gdyby nie była niewidomą, z pewnością zapracowałaby na życie dla siebie i dzieci, ale bez ócz cóż pocznie?

Ach Boże i Panie, opiekunie sierot, racz się nad nami zlitować!

Skoro Franek wszedł do chaty, zaraz się domyślił, że matka już wie o wszystkiem. Siedziała jak zwykle w kącie z zaczętą pończochą w ręku, lecz nie przebierała palcami. Była bardzo blada, a na twarzy widniał wyraz wielkiej boleści.

Franek, zobaczywszy ją tak smutną, rzucił się do niej i objąwszy jej kolana, nie zdołał nic więcej wypowiedzieć, jak:

— Matko, matko!

Makowa położyła mu obie ręce na głowie i przez krótką chwilę milczała. Potem rzekła:

— Nie płacz, Franusiu, nie płaczcie dzieci. Gdyśmy ojca stracili, Pan Jezus będzie naszym ojcem. Nie płaczcie, dzieci.

— Czyś widział ojca? spytała się Franka.

— Widziałem, odpowiedział zapytany. — Ma przestrzelone piersi. Wszyscy mówią, że morderca zaczaił się na niego w gęstwinie, gdy z miasta powracał i stamtąd strzelił.

— Kto? wyszeptała Makowa.

— Nikt nie wie, odrzekł Franek. Pan sędzia i doktor byli z żandarmami pod krzyżem, gdzie ojca naszego znaleźli.

— Pod krzyżem! powtórzyła Makowa. A gdzie jest teraz ojciec?

— Zabrali go do miasta i lekarze mają zbadać przyczynę śmierci.

— Biedny Franciszku, — zawołał Makowa — i po śmierci jeszcze nie dają ci spokoju.

— Mnie się sędzia także wypytywał, co ojciec wczoraj wieczorem robił, kiedy z domu wyszedł i dokąd się udał.

— Powiedziałeś wszystko, jak było? zapytała Makowa.

— Szczerą prawdę powiedziałem, odpowiedział Franuś. — Żandarmi znaleźli też w lesie niedaleko krzyża białą chustkę od nosa i rewolwer. Wszyscy myślą, że to chustka i rewolwer mordercy.

— Czy kto poznał chustkę albo rewolwer?

— Nie wiem, lecz słyszałem ludzi, którzy sobie o panu inżynierze Wilkusie rozmawiali i dawali do zrozumiena, jakoby on był zabójcą.

— Na Boga! — zawołała Makowa. — Czyżby nieboszczyk był się tak zawiódł na tym człowieku. Wszakże tyle razy mi powtarzał, że do Wilkusa ma największe zaufanie. Ach, to okropna rzecz, pomyśleć, że właśnie ten miałby być zabójcą, którego ojciec nasz uważał za najżyczliwszego przyjaciela i pomocnika... Czy pan inżynier też tam był?

— Nie, odpowiedział Franek, lecz słyszałem iż sędzia posłał żandarmów, ażeby go natychmiast uwięzili. Teraz pewnie już jest w więzieniu.

— Ach, Boże, ileż nieszczęścia na nas i na innych spadło w tak krótkiej chwili!

Po chwili milczenia odezwała się Makowa:

— Nie słyszałeś ,kiedy nam sąd ciało ojca wyda?

— iNe słyszałem! — odpowiedział Franek.

— Zapewnie jutro, — rzekła na to matka. — Musimy pomyśleć zawczasu o tem, ażeby ojcu sprawić pogrzeb.

— Skąd my na to wszystko weźmiemy pieniędzy? zawołał Franuś

— Przecież nosiłeś co miesiąc do kasy — odpowiedziała matka, — uzbierało się tam dość duża suma. Poszukaj książeczki z kasy oszczędności. Ojciec ją zawsze w szufladzie chował.

Franek wyszedł do drugiej izby i zaraz wrócił z książeczką.

— Ile mamy pieniędzy w kasie? — zapytała matka.

— Tysiąc dwieście marek, przeczytał Franek.

— Tylko tysiąc dwieście marek? — dziwiła się wdowa. — Przecież było więcej.

— Było — odpowiedział Franek, — lecz w ostatnich miesiącach nic nie odnosiłem, a często ojciec posyłał mnie po pieniądze do kasy.

— Na co te pieniądze poszły?

— Na wszystko, co w domu potrzebne było, odpowiedział Franek.

— Wszakże ojciec zarabiał, wtrąciła Makowa

— Prawda, lecz w ostatnich czasach gorzej, niż dawniej.

— Braliście pieniądze a ja o tem nic nie wiedziałam?

— Ojciec zakazał mi o tem mówić. „Nie będziemy matki martwili, a gdy maszyna będzie gotowa, wtedy wszystko się poprawi", tak ojciec mawiał do mnie.

Makowa nie powiedziała ani słowa więcej, o tej sprawie, bo mając zupełne zaufanie do nieboszczyka była przekonaną, że skoro część pieniędzy z kasy odebrał, z potrzeby to uczynił, i na konieczne rzeczy wydał. Myślała sobie, że niezawodnie wynalazek kosztował.

— Będziemy musieli zamówić trumnę i wszystko, czego do pogrzebu potrzeba. Ty Franku, jako najstarszy, musisz nam teraz ojca zastępować. Jesteś już dosyć rozumny, ażeby pojąć nasze smutne położenie.

W tej chwili ktoś zapukał do drzwi. Franek poszedł zobaczyć, kto do nich przychodzi, i zobaczył księdza proboszcza.

— Ksiądz proboszcz, — rzekł do matki.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, — rzekł ksiądz, wchodząc. — Posłyszałem o waszem nieszczęściu, a ponieważ byłem tu w sąsiedztwie u chorego, przychodzę, ażeby was pocieszyć w smutku.

— Bóg zapłać, — odrzekła Makowa — podchodząc ku księdzu i szukając jego ręki, którą chciała pocałować z wdzięczności. I dzieci przybliżyły się powitać księdza.

— Wiem już, jaką okropną śmiercią zginął mąż — mówił ksiądz proboszcz drżącym z starości i wzruszenia głosem. — Ponieważ nieboszczyk był wzorowym katolikiem, ufajmy, że Pan Bóg duszy jego będzie miłościwym sędzią.

— I ja mam tę nadzieję, przewielebny księżę, odrzekła wdowa .

— Nie wiecie, kiedy wydadzą ciało, aby je pogrzebać? — zapytał duszpasterz.

— Nie wiem, lecz spodziewamy się, że się to jutro stanie. I właśnie mówiliśmy o pogrzebie. Franek miał iść do czcigodnego ojca duchownego, aby o pogrzebanie zwłok prosić.

— Dobrze, dajcie mi znać, — odpowiedział na to ksiądz proboszcz — a nie turbujcie się o nic więcej. Poważałem nieboszczyka, był jednym z najlepszych moich parafjan, więc chcę wyprawić sam pogrzeb. Niech was o nic głowa nie boli, ja się sam zajmę wszystkiem, skoro się dowiem, kiedy pogrzeb się będzie mógł odbyć.

— Bóg zapłać, — odrzekła Makowa głosem pełnym wdzięczności.

— A potem, — mówił dalej ksiądz, gdy tę ostatnią posługę nieboszczykowi oddamy, pomyślę też o was, Józefo, i o waszych dzieciach. Nie martwcie się przeto i nie płaczcie. Będę się starał, ażebyście nie zginęli.

— Podziękujcie dzieci księdzu proboszczowi — zawołała Makowa

Dzieci rzuciły się do rąk księdza proboszcza a on jak prawdziwy ojciec, tulił je do siebie i głaskał po twarzach i głowach.

Zaiste piękny to był widok widzieć przezacnego starca wśród tych dzieci. Oczy jego pełne miłości spoglądały to na biedne sieroty, to na nieszczęśliwą wdowę ociemniałą. Jak ptaszęta, przestraszone napaścią jastrzębia, tulą się pod skrzydła matki, tak te sieroty garnęły się pod opiekę swojego księdza.

Wszyscy, nie wyłączając księdza, byli tak wzruszeni, że przez długą chwilę panowało milczenie, wśród którego słychać było jedynie stłumione westchnienia i łkania.

— Bywajice zdrowi, rzekł wreszcie ksiądz proboszcz, — a nie płaczcie. Bóg czuwa nad sierotami.

Potem się przeżegnał i wyszedł.

Makowa uspokoiła się w sercu po odwiedzinach księdza, bo największa troska, która ją gnebiła, jak dzieci wychować zdoła, stała się mniej wielką. Mając zapewnioną pomoc duszpasterza, nabrała ufności, że dzieci nie zginą.

Cały dzień jednak przeszedł w smutku niezmiernym. Cobądź Józefa lub dzieci czyniły, wspomnienie ojca nasuwało się im ciągle i odnawiało świeżą ranę serca. Gdziebądź okiem rzucili, wszędzie przypominało się im, że ojca niema Jeszcze wczoraj był, a dziś go już niema i nigdy nigdy nie będzie.

Nigdy.

Ach, jakże okrutnem jest to słowo! Nigdy już nie usłyszą słowa ojcowskiego, nigdy wzroku jego nie ujrzą nigdy nie zobaczą jego uśmiechu ani smutku, nigdy nie zasiędą z nim razem przy stole, albo wieczorami przy książce, albo latem przed domem. Nigdy, nigdy...

Któreż serce nie rozpłacze się, nie zakrwawi, gdy straci najdroższą na świecie osobę! Więc choć ksiądz proboszcz Makową pocieszył, choć wciąż przychodzili znajomi i sąsiedzi, aby jej wyrażać współczucie i serce krzepić, dusze wdowy i dzieci zbolałe były niezmiernie. Chodzili jak nieprzytomni, wszelka robota wypadała im z ręki i łzy spływały po licach.

Do izby, gdzie nieboszczyk nadwynalazkiem rozmyślając, zazwyczaj siedział, ani Makowa, ani dzieci nie wchodzili. Wszystko w niej jeszcze tak było, jak wtedy, gdy Mak późnym wieczorem ją opuszczał. Na stole leżały piłki, młotki, śrubki, gwoździki, nitki, tuż obok papiery z rysunkami i obrachunkami, obok książka z obrazkami maszyn podobnych otwarta, jak ją Mak był pozostwił; na stole i na podłodze widać było tu i ówdzie zrzynki kawałki drzewa, odpadki,które przy robocie podobnej powstają; wszystko tak było, jakby majster, pracujący przy tym stole, był tylko na chwilę robotę opuścił, ale zaraz powróci i będzie dalej rozmyślał, próbował i dłubał.

Widok ten sprawićby musiał Józefie i dzieciom tem sroższą boleść i dla tego nie wchodzili do tej izby i z pewną bojaźnią unikali, ażeby do niej wejść. Zdawało im się, że u drzwi tej izby stanęła zimna i nieubłagana śmierć z mieczem na straży.

Przeszedł dzień i przeszła noc, a ranek następnego dnia, piękny i pełen światła i ciepła, wstał na uciechę ludzi. Lecz dla wdowy i jej dzieci krasa jego przysłonęta była kirem żałoby tem cięższej, ponieważ tego dnia spodziewano się przywiezienia zwłok Maka.

Jako też pod wieczór zajechał wóz przed dom i stanął.

— Ojciec! — zawołał Franek, spojrzawszy przez okno.

Na to słowo mały Józef i Jadwisia rozpłakali się bardzo, a Makowa zbladła i zrazu nawet powstać nie mogła z krzesełka.

— Franek, podaj mi rękę! rzekła.

Powstawszy, szła wolnym krokiem ku drzwiom Ileż to razy stawała w tych drzwiach, ażeby wracającego z pracy męża powitać! A teraz, a teraz... Straszliwe powitanie i serce rozdzierające.

Ludzie wnosili właśnie przykryte czarną materją ciało do sieni, a stamtąd do izby, gdzie nieboszczyk pracował i przebywał.

W progu stała Makowa cała drżąca. Oto mąż jej wraca. Lecz dla Boga, nie tak, jak dotąd bywało; nie wita jej miłem słowem, lecz zimny, milczący, z zranioną piersią, martwy. Ona czuje chłód, wiejący od trupa, chłód śmierci. Ach, jakże się to wszystko w jednej chwili zmieniło. Dawniej wnosił wracający mąż do mieszkania ciepło, radość i życie. Jego bystry umysł podniecał umysły całej rodziny, jego rozmowy z dziećmi rozwijały rozum dzieci; pogoda jego serca przelewała się w serca najdroższych mu osób i choć czasem smutek panował w chacie przed jego przybyciem, gdy on wchodził w rodzinne progi, robiło się w domu ciepło, wesoło, bo ojciec wrócił. Ojciec ten był jak słońce dla swojej rodziny, wszyscy się ku niemu zwracali.

A teraz to [illegible] słońce zgasło na zawsze; jakże ponurym wydawał[illegible] się Józefie świat cały.

Wieczorem tego dnia Makowa ułożyło dzieci rychło do snu.

— A wy matuchno [illegible] jeszcze nie chcecie się położyć? — pytała Jadwisia.

— Nie, dziecko, — odrzekła Makowa, — ja jeszcze będę się modliła.

— Za ojca?

— Za ojca i za was! Śpijcie z [illegible] Bogiem.

— My też chcemy się modlić za [illegible] ojca, — odezwał się Józef.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Drukiem druk. Dziennika Pomorskiego, Chojnice.
Redaktor odpow. Bonifacy Chmielewski, Chojnice
Wydawca Juljusz Schreiber, Chojnice.